Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 14. Poznań dnia 1. Lipca. 1839.

Literatura zagraniczna.

Teraźniejsza angielska literatura.

Podług Filareta Chasles.

(Dalszy ciąg.)

II. Dramat.

Naśladowanie czyli raczéj ubóstwianie Shakespeara odjęło angielskiemu teatrowi wszelką żywotnią siłę. Tragikomedyom Sheridana, Knowlesa, Bulwera, Shiela, owym jako tako postykanym melodramom, utworom efemerycznym jednego wieczora, zbywa na prawdziwéj rzeczywistości, znajomości świata, mocy i naturalności. Wordsworth, ów bożyszcz teraźniejszego angielskiego teatru, swemi czuło — ckliwemi marzeniami, sentymentalnością, płaczliwem utyskiwaniem na ludzkie cierpienia, wystraszył ze sceny życie zdrowiem i czerstwością rumiane. Okazałość zbyteczna w dekoracyach, edykta parlamentowe i wszystkie zaradcze środki, nie są zdolne słabemu i zgrzybiałemu starcowi młodzieńczą przywrócić siłę. Można go uczynić bogatym, filozoficznym, rzewliwym, podsadzić podeń galwaniczną kolumnę, aby drgnął na wszystkich muszkułach — lecz niemocą złożony starzec nie zdoła wstać o swojéj mocy.

Historyą angielskiego teatru na trzy epoki podzielić można, odpowiadające trzem wydatniejszym obyczajowym zmianom. Pierwsza epoka Shakespearowska jest prawdziwie twórczą. Za panowania Elżbiety wybuchnął najprzód płomień angielskiego geniuszu. Nowy świat odsłonił się oczom: cała moc charakterów, niewyczerpany zasób losów i stósunków ludzkich, walka bohatyrów przeciw przeznaczeniu, a nad tym całym nowym światem kroluje Shakespeare, obok niego, przed nim i za nim prokonsulowie, ministrowie. Jednakże i Marlowe, Green, Webster, Beaumont, Fletsher, Maninger mają prawo do większéj sławy, jak im powszechnie świat przyznaje; albowiem i w ich dramatach jaśnieje dziwna bystrość, głęboka znajomość świata i natury ludzkiéj objawiająca niekiedy prawdziwy geniusz.

To piękne ocknienie się angielskiego ducha i niezmierną dramatyczną płodność zwichnął wkrótce purytanizm i wojny domowe. Drugi okres dramatu skłania się do francuźczyzny. Dryden naśladował Artamene i Cyrusa, Wycherley, Furquhar, Vanbrugh i Rochester przeszli Moliera w rozhukanym żarcie i posunęli jego wesoły humor do ostateczności. Obyczaje Karola II. pokazały się na scenie obok wymuskanéj rozwlekłości z romansów Skudery wyjętéj. Jakoż nie mamy ani jednego klassycznego dzieła z téj epoki. Talenta sypią wprawdzie ogniste iskry geniuszu, ale te natychmiast w ciemnéj gasną pomroce. Drydena Almanzor i Orondates są to bohatyrowie z drewna i z kamienia, których serce wydrążone i puste. Congreva i Farquhara *mauvais sujets* są powiększéj części maryonetty pełne dowcipu, expensujące cały swoj talent na płoche, często dziecinne psoty. Niewykończone pomniki z owych czasów są trzy dzieła: Rochestera wyborna krotofila „*the Rehearsal*“, Wycherleya zręczna komedya intrygowa „*the provoked wife*“ i potoczysty dyalog w Congreva „*Double Dealer.*“ Ale i te dzieła zeszpecone są dziwacznem naciąganiem i kłamliwemi sytuacyami. Pokazuje się z nich oczywiście, że ich autorowie nie mieli ani wyobrażenia o prawdzie i przystojności, że więc były to dziwaczne albo rozwiozłe półgłówki. Naprózno szukalibyśmy w nich Shakespearowskiéj przenikliwości i z rzeczy saméj wynikającéj prawdy.

Pod Jakobem II. i Wilhelmem przybierają obyczaje ludu pewną powagę. Zaczęto też tworzyć poważne i patetyczne dramata, jak Otway i Lillo, w których wymowa w całéj sile i pełności wytryska, ale jéj braknie owéj delikatności, owego umiejętnego połączenia komicznych i tragicznych przygód, życie ludzkie przeplatających. Od Otwaya, który razem z Lillo mieszczańskie życie na scenę wprowadził, zaczyna się trzecia epoka, która przez Cumberlanda i Colmana satyryczny otrzymała koloryt; pomimo tego jednak była wciąż napuszoną, kwakiersko-purytańską, a zwykle nieznośnie nudną. Potrzeba i przywyknienie do teatru przeżyły

siłę dramatyczną. Na tem nie poznały się najlepsze głowy i wciąż potworne wydawano płody, które nędznego życia ledwie chwil kilka przeżyć mogły. Pomimo tego jednak Adissona z imny Kato obudził podziwienie Voltaira, a Jonsona nadęta Irena huczny poklask odniosła. Angielski więc teatr wlókł się jako tako, gdy tymczasem pewien uszczypliwy geniusz odkrył główną wadę ówczesnego towarzystwa, to jest obłudę. Był to Sheridan.

Anglicy zaczęli w tym czasie udawać poważnych i surowych sensatów. Rząd kłamał podobnie, jak poddani: mina świętoszka popłacała w salonach. Na teatrach wzdychano, płakano, moralizowano; słowem cały naród odgrywał rolę świętoszka. Co za szerokie pole dla satyry! Sheridan pochwycił tę myśl, połączył satyrę z komedyą i był zwiastunem nowego ducha czasu. *The School of Scandal* jest wyjątkowym fenomenem, osobliwem zjawiskiem, jedynym, ale pysznym utworem.

Tymczasem uderzono we dzwony na francuzką rewolucyą, i poruszone ludy zaczęły postępować naprzód. Poezya dopiero szeroko rozpostarła skrzydła, gdy siła narodowa nowego nabrała znaczenia. Ta epoka literackiego odrodzenia, zaczęta przez Lewis, Crabbego i Cowpera, a przez Waltera Scotta i Byrona dokonana, usiłowała także i dramat ożywić duchem poetów 16go wieku; ale głęboko uśpiony geniusz dramatyczny, nie zdołał się z swego letargu ocknąć. Sztuki Byrona jednę tylko mają osobę, to jest jego samego i unoszą się między dytyrambem, a elegią. Wartość Sardanapala Byrona i Zemsty Coleridge tylko w czytaniu uczuć można. Mistress Baillie pisała także tragedye, które pełne są wprawdzie wymowy, ale pozbawione ruchu i prawdziwéj rzeczywistości.

Angielska spółeczność z różnych przyczyn opuściła powoli teatr. Z ognisk teatralnych, będących długo stekiem występku i zepsucia, usunęli się ludzie uczciwi, ojcowie familii, i ci, którym przynajmniéj o pozór cnoty chodziło. Spóźniona godzina obiadowa nie pozwalała wyższym stanom uczęszczać na pierwsze sztuki, podczas, gdy pobożnisie i moraliści gromili zepsucie teatralne i rzucali moralne klątwy na tych, co jeszcze w tym rodzaju zabawy ukontentowanie znajdowali; arystokracya zaś spoglądała ze zgrozą i wzgardą na ruchliwość parteru i na grubijańskie krzyki galeryi. Szukano więc innéj rozrywki. Romans nastręczał większą jeszcze rozmaitość scen w daleko powabniejszych i dziwniejszych przemianach, którym siedząc w wygodnym krześle, przypatrywać się było można. Politycy, kupcy, officerowie i gracze odwiedzali swoje kluby. Herbaty i wieczory salonowe pociągały ku sobie damy, otwierając im obszerne pole do popisywania się z swym języcznym talentem i kokieteryą.

Nic więc dziwnego, że wtenczas teatr wydawał się prawie wszystkim miejscem zepsucia, i poczęści słusznie, albowiem gdyś wszedł do Convent Garden lub Drury-Lane, sądziłeś się być przeniesionym do świątyni Melity. Wyroki parlamentowe nic w téj mierze nie skutkowały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Melodya I.

Jest niewidzialny świat czucia.

Jest niewidzialny świat czucia,
Niepodległych zmysłom marzeń;
Tam dusze cierpią przeczucia
W tajemniczéj nocy zdarzeń:

Tam — z żywiołów niepojętych
Wielkich — pięknych — czystych — świętych —
Wonna unosi się para:
Melodya — miłość — wiara.

Tam ja, wyścigając lata,
Uczułem téj wpływ nad sobą,
Co nie miała być ozdobą
Chwil przelotnych tego świata.

Tam — jak dwie róż jednéj woni,
Jak dwa echa jednéj strony,
Gdy w nie jeden głos zadzwoni,
Tak dusz naszych zgodne tony
W harmonijnych uczuć wianku
Zbiegały się bez ustanku!

Ona, jak gwiazda zbawienia,
Drodze mojéj przyświecała.
W niéj były moje marzenia,
Moje szczęście, moja chwała.

I gdy już zawładnąć miała
Tym złotym życia promieniem,
Tosamości uczuć siła
Nieznaném ziemi weselem
Przyjście mi jéj objawiła.

A gdym ją ujrzał oczami,
Postrzegłem świat odrodzony —
Koronę szczęścia nad nami —
I pokój błogosławiony!

M. Jełowicki.

Uwagi nad dramatem polskim.

Audaces fortuna juvat. — Śmiałków psy gryzą.

Nikt mi przeczyć nie będzie, gdy dramat nazwę szczytem poezyi; w nim albowiem wszelkie formy, dawne, nowe, różne uczucia, jakie bądź obrazy, nawet co największa, każde działanie, czyn, przedstawić i zamknąć można. Czy pójdziem za wyrozumowaném zdaniem Viktora Hugo, i podzielim poezyą na trzy wieki, a pierwszym wiekiem literatury nazwiem Genesis, drugim Iliadę, trzecim zaś Shakespeara czyli dramat; alboli idąc za prostem pojęciem to, co jest większym, ogólniejszym zbiorem wypadków i piękności, poczytamy za wyższe; zawsze dojdziem do tego, że przeniesiemy działanie nad opowiadanie, dramat nad epopeję i liryczność, prosto zaś mówiąc, życie nad gadaninę. Idzie tylko o to, aby odpowiedzieć zadaniu dramatycznemu; mnie zaś chodzi właściwie o zwrócenie uwagi, jak temuż zadaniu odpowiadają teraźniejsi polscy poeci.

Mała ich liczba rzuciła się na to pole; ale nam nie liczby szukać; wszakże, gdyby się godziło spytać, czy brak zdatności, umniejszyły szereg ubiegających się w tym zawodzie, znalazłbym odpowiedź, która może nie każdego uderzyła. W jednem z pism swoich Adam Mickiewicz rzucił słowem niebacznem i zakierował zdolnościami młodych umysłów wspak dramatycznym utworom. W przedmowie do swych poezyi powiada, iż jeszcze nie przyszedł czas, pisać dramata z dziejów naszych. — Dla czego? — bo dotąd się żadne nieudały. To nie dowód: i przed Maryą Malczewskiego i Wallenrodem nikomu się nieudało utworzyć poematu prawdziwie polskiego litewskiego — a przecież. Jednak temu zdaniu wielkiego poety uwierzono, i poszli za nim młodzi poeci na wyścigi w ballady, w poemata, a dramat gdzie niegdzie skoczył na starych Pelopidów, Artaxerxesów, nawet raz poskoczył na mnicha, i Maryą Malczewskiego do nitki zwlókł na scenę, ale zrażony przepowiednią Adama Mickiewicza, nigdy nie zzuwał tragicznego koturna klassyków. Próbował*) wprawdzie, ale czego? nie polskiéj dramatyczności, tylko rzucenia się z jednéj szkoły w inną — próbował tkliwości niemieckiéj w Klarze — w Anieli — pięknie, obficie; — dzięki i za to, wszakże nie zmienił, nie wyrobił nic przez to dla narodowych dramatów, bo mu powiedziano: „Nie przyszedł czas do pisania dramatów z naszych dziejów.“ —

A za granicą cała poezya Niemców, Francuzów, Anglików, grzmiała: dramą. Delavigne z Nieszporów Sycylijskich w Paryą stąpał. Wiktor Hugo krzyczał i kłócił się z całym światem literackim o dramata i tworzył ludzi do słuchania ich, a cucił obojętność Francuzów Kromwelem, Hernanim, Maryą de Lorme; a u nas, — nieodwołane słowo Mickiewicza, leżało gradem na polu. O! jeżeli tyle arcydzieł przemknęło się, a nie ruszyło u nas serc młodych, zaklętych zdaniem powyższem; może to kiedyś zacięży w pamiętnikach przyszłości na wielkiem sercu poety. Boć przecie historya narodowa, stała otworem, niespracowany Joachim dobierał klucza, nawet do dziecinnych serc synowców. Dawny język kronikarzy z gotyckich wyłaził kryjówek*), a Nestor nasz stary jeszcze o starszych, jak swoje opowiadał czasach**); nawet odzywał się już duch, któryby był umiał oceniać z dziejów osnowane dramata, głośno i głęboko ozwał się on nad mnichem Korzeniowskiego; a jednak i ta chmura pełna myśli, obrazów, przesunęła się nad dramaturgią bez deszczu, któryby ożywił tę niwę, bo ją wielki zaklął czarownik.

Może kto powie, że jeszcze czas nie był po temu, widać nie było powołania, geniuszu. Dobra to odpowiedź, ja pamiętam, że w szkołach nie raz się tak tłumaczyłem memu nauczycielowi, kiedym nie zrobił tematu, a jednak ta odpowiedź nieusunęła mi kozy. „Chciéj, a znajdziesz i czas i sposobność!“ odpowiadał mi zawsze, a pono prawdę mówił. Nie zwalajmy na czas — czas nic nie robi.

Ale nim zajdziemy daléj w uwagi dotyczące dramaturgii, zechciejmy się porozumieć o znaczenie, jakie nadajemy temu wyrazowi w niniejszym piśmie, a niedepcąc się z Grekami o nazwę, po prostu powiemy, że przez dramat nie rozumiemy, ani dramy niemieckiéj, ani tragedyi francuzko-łacińsko-greckiéj, ale właściwie trzeci peryód literatury, do któréj należy wszelki utwór sceniczny, w którym zachodzi życie, działanie. Jakeśmy wyżéj przypuścili, czy uroili sobie, (jak kto chce, niech bierze), trzy epoki literatury: odę, epopeję i dramę, tak równie zdaje się nam, iż nic ich tak nie charakteryzuje i różni, jak pomysł, pod jakim uważają człowieka — W biblii, téj najpierwszéj i najszczytniejszéj odzie, pomysł o człowieku występuje zdziwiony, uderzony majestatem, budową jego stworzenia. Biblijny Adam, Kain, Mojżesz, to kolosy — im wystarcza drabina, aby dosięgli nieba; pasują się z Aniołami we śnie, a na jawie Anioł im służy, do nich sam Bóg używa jeszcze swego naturalnego głosu. „Krew brata woła o pomstę do nieba.“ — W epopei już ten pomysł drobnieje, wszakże są to jeszcze olbrzymy; tarcze Achilla ledwoby teraz

*) Próby dramatyczne Korzeniowskiego.

*) Przedrukowywanie kronik Bielskiego etc.

**) Pamiętniki Niemcewicza.

wół podźwignął; Ajax sam jeden wstrzymuje floty; aż wreszcie nadchodzi trzecia epoka dramatu, pomysł o człowieku starzeje — już nie on jest wyłącznym przedmiotem opiewań, ale jego namiętności, wydarzenia; namiętności muszą mieć podniętę, wydarzenia skreślić miejsce, czas i ludzi przy nim działających; już tu właściwie niknie pomysł idealny człowieka, a rodzi się pomysł życia. W pierwszych dwóch epokach panuje poezya ułudy, tu poezya prawdy; tam były odrębne foremki na szczytność, na uniesienie, na śmieszność, na okropność, słowem, na każde uczucie; tu zaś wszystkie uczucia razem przypuszczone dla oddania życia, tak, jak w naturze się dzieje. W takiem to określeniu bierzmy wyraz dramatu. A teraz porozumiawszy się, wracajmy do rzeczy, jeżeliśmy tylko od rzeczy mówili. — Wszakże pierwszy zarzut pisarzom naszym z samego uważania i pojmowania drama uczynić przychodzi, i skarżyć ich, że nie śmieli pójść do źródła wyrabiania się téj sztuki i z nią postępować; ale co łatwiejszém było, przyjęli formę pierwszą lepszą tragedyj klassycznych, które w historyi dramaturgii wypada uważać za alfabet, za książkę syllabizujących na tem polu, co jednak naszym pisarzom nie przeszkodziło wziąść ją za ultimatum sceniczne. Ztąd wszystko złe poszło, bo jak pierwsze obrazy początkującego malarza, nie mają właściwego kolorytu, ani porządnego rozłożenia w osobach, w cieniach, w perspektywie, tak i pierwsze formy poczynającéj sztuki dram, były ciasnemi, plączącemi, bez naturalnego ułożenia, mniéj więcéj, zaokrąglone, przyklejane. Stworzywszy takie formy na początek starożytni, opisali je, tłumacząc się z swych myśli dobrodusznie, dla czego co postanowili, a to wszystko tak sumiennie i z takiemi pochwałami, na jakie im się zdawało, że zasłużyła ich praca. Ale żeby im kto był powiedział, że to, coście utworzyli, będzie już wiecznie zasadą téj sztuki, że potomni niedadzą w niej kroku zrobić, lub niezrobią, dla tego, że wyście sami daléj się nie posunęli; toby byli starożytni wzięli go za waryata, i słusznie, bo wiedzieli o tem, że te prawidła, tok i cała budowa ich tragedyi była dopiero pierwszą formą nowéj, wielkiéj, a pono najobszerniejszéj nauki dramatycznéj.

Zdaje się rzecz jasna, wszakże nie wiem, dla czego tak długo o to spierali się z sobą klassycy i romantycy; dla czego nakoniec, po przetarciu oczów, ostatni wprowadziwszy wolność fantazyi do wszelkich zagród literatury, nie rozciągnęli jéj do najważniejszéj gałęzi dramatycznéj, tam właśnie gdzie najwięcéj była cieśniona, i gdzie najobfitsze ukazywało się żniwo?

Może kto powie, że niedawno temu, jakieśmy stąpać zaczęli, trudno więc od razu latać? — Nie dawno? ja nie wierzę, nieliczyć nam poezyą na lata, ale na dzieła, Marya Malczewskiego, Grażyna, Wallenrod, zamek Kaniowski, Haliczanin, to już tyle wieków, tyle pomników, tyle kościołów nowéj literackiéj wiary, a żadnéj kapliczki dla polskiéj dramy, żadnego pociągu do oddania szorstkiego życia przodków naszych, prędszéj ręki niż języka. Żeby to jeszcze nasze prapradziady więcéj melancholiczni, czuli, dumający byli; ale gdzie tam, ni jeden obraz stary nie postał w skarbcu naszych dziadów, coby Żółkiewskiego wystawiał spartego na ręku i marzącego w gorączce; Łokietek z tronu nie uciekł z arfą w ręku, i pono nie przysłuchiwaniem się skardze wiatrów, wdarł się nań powtóre; Litwin, Prusak, Tatar, Krzyżak, Węgier, nie w kręgle grali z naszemi ojcy: więc życie przodków było czynne, pełne działania, dramatyczne; ale dla synów tak stracone, że nawet jednego żyjącego obrazka z tych dziejów sklcić nie mogli. Gadali, rachowali, opiewali trochę o tych czasach, jak chłopek w karczmie opowiada kazanie księdza plebana, ale odżywić — ani daj Boże! trudno im było o resurekcyą, tak się na roratach klassycznych zmęczyli.

Ale bo też do resurekcyi naszych antenatów w dramie, trzeba nie tego ducha i nie téj zasady, jaką nam formy tragedyi przedstawiają. Naprzód nie do pogodzenia z historyą polską dwa kardynalne prawa téj pięcioaktowéj szubienicy. Jedność miejsca i czasu tak zatłumiły głowy dramatyków, iż woleli pójść wbrew rozumowi, jak wbrew téj klatce. Pakują kobiety do obozu na błonia Cecorskie, w trzech godzinach sejm zwołują, zaintrygowali go; Barbarę otruli, Bonę wyprawili, a król poczciwy ledwie miał sposobność tu i owdzie kilka sentencyi na naukę słuchaczom rzucić, jużci zasłona spadła, bo koniec piątego aktu. Tu znów wielki król i człowiek, musiał się od razu w kaptur ubrać, posadzili go na jakiejś niedostępnéj górze, jeden mnich tam wlazł go szpiegować, drugi go zganił za to, — w tym przybiega goniec do klasztoru, że Bolesław Śmiały wyklęty, poznają go, ale ja go dalibóg nie poznałem; myślałem po prostu, że to sobie jaki ksiądz proboszcz z naszych czasów, który coś zrobił w parafii i uciekł do klasztoru; nakoniec wypędzają owego mnicha. Dobrze zrobili, to nie musiał być ów wielki król Bolesław, przecież tamten bił, królował. Czytelnik téj tragedyi nic z tego w tępym charakterze mnicha nie znajdzie, a chcąc lepsze mieć wyobrażenie o charakterze owego króla, niech weźmie do ręki, choć najgłupszego historyka, np. p. Miklaszewskiego; tam znajdzie w tych kilku słowach: „przywdział kaptur i powiadają, że w klasztorze w Ossie w Węgrzech zakończył życie," treść, osnowanie, jedność miejsca, nawet jedność wiersza, bo jednym

wierszem p. Miklaszewski całą tę tragedyą objął. Toż samo zastósowanie do jedności miejsca i czasu, urodziło dziwotworną scenę 1szą w Glińskim, kiedy on jak waryat, on bohater sztuki, jeszcze z owych starych wieków naszych, wypada ze snu pociemku na scenę, krzyczy, wrzeszczy, lęka się, stracha, widzi jakąś krew, cienie, a biedna córka, prawdziwie biedna, nuż z nim w rozmowę, naprowadza go na tę myśl, że to sen, mój ojcze, że to ci się śniło i t. d. brakuje tylko pół włoska, żeby mu niepowiedziała: „ojcze, ty masz spazmy, napij się rumianku." A dla czego autor wpadł na taką myśl? oto trzeba było czytelnikowi, czy słuchaczowi opowiedzieć przeszłe życie, i czyny Glińskiego, czyny, których wystawienie, nie opowiedzenie zrobiłoby stokroć interessowniejszą i prawdziwszą sztukę, jak ta, którą z dalszych czynów uwikłał Franciszek Wężyk. Ale owe ramy, czas, miejsce, jak anioły ogniste z mieczem przy wchodzie do raju, strzegły Adama pierwszego, aby na powrót do niego nie zawędrował, tak strzegły p. Franciszka Wężyka, aby coś lepszego, jak wszyscy dotąd nie napisał, aby nie wyszedł z obrębów klassycznych.

Dość tych scen, aby uczuć, jak niedogodne dla wydania polskich charakterów i działań, były tragiczne formy, więcéj te formy wadzić będą, gdy nam przyjdzie upominać się u pisarzów naszych dramatycznych o tło wieku. Ale by w właściwym miejscu przyjść do tych zarzutów, odwróćmy się na chwilę od uwag szczegółowych, a zajmijmy pokrótce ogólowym postępem sztuki dramatycznéj od czasu przyjęcia klassycznych form w całym świecie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Filologia, filozofia i matematyka,

uważane jako zasadnicze umiejętności naukowego wychowania.

III. Matematyka.

(Ciąg dalszy.)

Prawda, że np. tysiąc, rozłożone na sta, dziesiątki, jedności, w każdéj swojéj cząstce będzie liczbą: ale nie będzie tysiącem. Toć i bryłę sześcienną, według pierwiastka dwudzielnego, rozłożyć umimy na ośm różnych brył foremnych, ale nie każda będzie sześcianem z całego pierwiastka. Skoro więc tylko chodzi o możność takiego powiększania lub zmniejszania ilości, aby się wyobrażenie gatunkowe nie psuło, to i woda, powietrze, każdy wreszcie kamień, będą ilościami oddzielnemi. Widzimy zatem, że taka cecha ilości, wzięta za podstawę nauk matematycznych, krytyki nie wytrzyma; rzecz tylko dziwna, że dotąd się ostała.

Okazaliśmy wyżéj, że natura przestrzeni i czasu, jako podścielisk wszelakich matematycznych badań, jest wyobrażalna. Téj własności z uwagi spuszczać nie powinniśmy, jeżeli nie chcemy popaść w nowe niedorzeczności. Przedmiot wyobrażalny nie przedstawia się ani bezpośrednio rozumowi, ani bezpośrednio zmysłom, ale bezpośrednio wyobraźni. Wyobrażalność trzyma środek między wyobrażeniem czysto duchowém *(a priori)*, a wyobrażeniem fizyczném *(a posteriori)*: będąc niejako przejściem z jednego do drugiego wyobrażenia, nie powinna być ani jednem, ani drugiem. Już zatem figury geometryczne ani powinny być czystą abstrakcyą, co się też z wyobrażeniem figury jako figury pogodzić nie da; ani fizyczném ciałem, coby saméj ścisłości matematycznego dowodzenia uszczerbek przyniosło; ale powinny środkować między jednem a drugiem. Tu zaraz wykrywa się czysto-matematyczne pojęcie, przez całą niemal matematykę główną odgrywające rolę, to jest: **przybliżenie w nieskończoność**. Figury zatem geometryczne z tego stanowiska uważane; są w nieskończoność rozcienionę postaci fizyczne.

Nie poznanie tego charakteru, co pierwsze zaraz cechować powinien zasady, naprowadziło na powtarzane dotychczas błędne, a przynajmniéj mętne definicye w geometryi elementarnéj. **Euklides**, a za nim inni, zaczyna od definicyi punktu, i powiada: punktem jest to, co nie ma żadnéj rozciągłości. *(Punctum est, cujus pars nulla est.)* W czwartéj zaraz definicyi mówi: że linia prosta jest ta, któréj punkta są w prostym kierunku, *(recta linea est, quae ex aequo sua interjacet puncta)*, zkąd wnosić wypada, że linia składa się z punktów, że zaś punkta żadnéj nie mają rozciągłości, żadnéj też rozciągłości utworzyć nie mogą, choćby ich była nieskończona ilość. Linia, podług tegoż ojca matematyków, ma tylko samą długość, bez grubości i szerokości. Takiéj linii przecinaćby i dzielić żadnym sposobem nie można, na co w następnych dowodzeniach ciągle natrafiamy, bo każde przecięcie tworzy płaszczyznę na dwie strony, a więc gdzie nie ma grubości, tam nic przeciąć nie można. Podobnie z linii nie mającéj szerokości, nie utworzy się powierzchnia mająca długość i szerokość bez grubości; ani wreszcie z powierzchni bryła, wszystkie posiadająca rozciągłości. — Ciało przeto matematyczne, choć nie zawiera nic materyalnego, tylko samę czystą objętość, dawałoby zupełnie urojone wyobrażenie, gdyby objętość ta nie nosiła na sobie cechy, o tyle, o ile tylko, kto chce, wycienionéj zewnętrznéj okrywy tego ciała, wydrążonéj, że tak powiem, aż do najcieńszéj, i coraz jeszcze rozcieniającéj się skórki np. kostki sześciennéj. Na ten sam sposób matematyczna powierzchnia będzie

jedną stroną tego sześcianu, któréj grubość w nieskończoność niknie. W linii matematycznéj znikają podobnie, ale nigdy nie nikną zupełnie dwie razem rozciągłości; a w punkcie wszystkie trzy społem. Punkt bez żadnéj rozciągłości nie daje żadnéj myśli, i wyobraźnią uchwycić się nie da. Za pomocą takiego przybliżenia w nieskończoność, odbywa się mnóstwo dowodzeń nawet w elementarnych geometryi częściach. Znachodzimy to samo wyobrażenie, w arytmetycznym dziale matematyki, a mianowicie wszędzie w rachunku differencyalnym, gdzie różniczkowa wielość maleje w nieskończoność, zbliża się ciągle do zera, ale nie staje się nigdy zerem.

Ten rodzaj pojmowania, matematyce saméj właściwy, trzymający środek między zmysłowem, a spekulacyjnem pojęciem, niezmiernie pomaga do zaostrzenia i wytężenia sił rozumowych. Umysł, choć w najgłębsze zapuszcza się matematycznych prawd tajniki, nie gubi się w abstrakcyach, nie traci punktu oparcia, lecz ma zawsze coś pewnego przed sobą, niejako wyobrażoną prawdę, w którą rozumem wziera. Jak czas i przestrzeń, tak wszystkie z nich wyprowadzone prawdy matematyczne są wyobrażalne; co się więc w przezroczu wyobraźni z zewnętrznego świata w idealnéj formie odbiło, da się na odwrót zmysłowym znakiem (figurą, liczbą, literą, formułą,) dla oka zakreślić, i na ten sposób słabszym wyobraźniom przychodzi w pomoc. Pod tym względem najstósowniejszą jest dla szkół umiejętność matematyki, jako najpewniejszy środek rozwijania sił umysłowych młodzi, dla któréj pojęcia filozoficzne nie są jeszcze przystępne. Możnaby powiedzieć, mianowicie co do geometryi, że figury są to hieroglify myśli, których się czytać uczymy, nie zdolni ich jeszcze pojmować; że to są bawidełka dla żywéj imaginacyi młodzieńczéj, przez które przyucza się głębokie, duchowe prawdy rozumu poznawać. Tu najwidoczniéj pokazuje się korzyść z nauk formalna. Nie chodzi w szkołach o to, aby uczeń nauczył się rozmierzać pola, bo do tego trafi późniéj każdy, komu tego będzie trzeba, samą praktyczną wprawą; ani aby umiał dokładnie rachować, bo na to dosyć arytmetyki niższéj: ale aby nabrał wprawy w rozumowanie drogą pewnych zasad; aby przywykł w myśleniu do matematycznéj ścisłości, i logicznego myśli wiązania.

Matematyczna ścisłość wypływa z jednéj tylko zasady logicznéj, to jest z konieczności wniosku wyprowadzonego z poprzedników. Wszystkie dowodzenia są niejako zastósowaniem, ćwiczeniem się w téj pod względem myślenia najważniejszéj części logiki. Aby wniosek był prawdziwy, na prawdzie polegać muszą jego poprzedniki. Nauka więc matematyki z najprostszych, niezłożonych wychodzić musi zasad; a rozwijając je i składając, żadnego w postępie nie dopuścić się przeskoku. Podstawy matematyki, jak się powiedziało, są czas i przestrzeń, czcze, samą próżnią wypełnione obszary. Czas, będąc sam ilością nieskończoną, zmienną, roni jednostki stęgłe, skończone, które myśl zbiera, i tworzy liczbę téj saméj natury. Liczba, jak zebrana, tak rozebrana być może, ztąd dwa główne charaktery działań arytmetycznych, powiększanie i pomniejszanie. Rozebranie sposobów, na jakie powiększać i pomniejszać można, naprowadza na szczegółowe działania. Liczby stawione w stósunku do siebie, wyświecają teoryą proporcyi, i są jak podstawą ułamków i wszystkich rachunków praktycznych, tak przejściem do algebry: pierwszem dla tego, że na stósunku każde połączenie ilości imiennych polega; drugiem dla tego, że w stósunku znika potrzeba szczegółowego oznaczenia liczby, który tu po raz pierwszy przechodzi w naturę ogólnego znaczenia, a tem samem ogólnego literalnego znaku. Dla ogólnéj natury liczb pomniejszać i powiększać je tylko można za pomocą znaków, i kłaść w równowagę czyli zrównanie. Współczynniki tworzące się z połączenia liczb ogólnych jednorodnych, są węzłem między algebrą a arytmetyką niższą, i dla tego algebry praktyczną stroną.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Prace literackie, *tom 1wszy. Wiedeń, nakładem wydawcy.* 1838.

(Dalszy ciąg.)

A panny Urszuli dom to czelny wzorek dworskich zbytkowań, to pierwszy promień przejścia téj zarazy z zamkowych ku mieszczańskim obrębom: objąwszy ona umysłem przebiegłym całe położenie ówczesne niewieście, jako faworyta, wzięła na siebie walkę z dworakami, jako obca, jęła spinać się nad warszawskie niewiasty, szukać przewagi użyciem wszystkiego ku ściągnieniu na siebie oczu całego tłumu. Obiciem holenderskiém obrzuciła ściany, by gość spojrzawszy na nie, przypomniał sobie coś z zamku króla, coś z części należnéj, coś z jéj urzędu faworyty. Hetmani nosili buławę, rycerze zbroje, nią światu przypominali, czém są; Urszula, aby przypomnieć, czém była, musiała stroju nakroić, złota narzucić, świecić, by nie zgasnąć; a gdy przyszło na to, deptać, aby nie być deptaną. Przebiegła dworaczka umiała nawet z ciemności kręconych wschodów korzystać, i tak urządziła odrzwie komnaty, iż nagle je otwarłszy, oblanyś został bijącém światłem okien i powtórzonym ich odblaskiem w zwierciadłach weneckich — i olśnąłeś i musiałeś zmrużyć oczu, uchylić głowy i ten pierwszy mimowolny hołd złożyć dumnéj pani komnat. Tak nie jedna dworaczyna, kiedy ją obcesem król na zawołanie Mejeryny wysłał, radziła sobie, samotwor idąc ku niéj, w progi wejść z szyderczym śmiechem i na »służby powołać«, ku królowi sprosić — w progu światłem w głowę dostał, by osękiem od Wołocha, zgiął się, uśmiechu zapomniał, ino wyrazy królewskie rzucił skwapliwie. A choćby i ocknął, to miał czém napaść oczy, tyle tam kapało zbytku wykwintów.

Wszystko w komnatach Urszuli mówiło o faworycie, a nie o poważnéj matronie, cały wymysł rozbitego obozu chuci, jasny, kiedy o podbicie chodzi, ciemny, kiedy w gotowalni się kryje, ciemny, kiedy ku Bogu wzdycha — obraz walki i sposób do walki: ale życia, ale celu niewiasty — nic. Macierzyństwo wygnane, świętość zacisza zagubiona, i to, co robi ściany mówiącemi do niewiast, kiedy męża czekają, i to, co tuli ich żałobę, kiedy po nim płaczą, wiecznie zarzucone; zgadłbyś od razu, że tam się nigdy ojca, męża nie czekało. I był ten dom Urszuli jako kościół bez obrazu.

Inak się działo w czarnéj kamienicy pana Karóla Chodkiewicza, a choć był to rok 1621., tam witał cię jeszcze rok 1550. zwyczajów, upięć, kobierców, ścian zbrojnych, grzmiący namiotem, napojem, już nieco zaczepiony włoską bony ręką, ale na nowo zchartowany polem z Turczyną; dziwny tak sprzecznym w sobie stósunkiem światła zachodu, maniery wschodu, jak jego sady, rabaty, wirydarze, z włoska w ogrodzie strzyżone, z ubiorem pana swego z tatarska obszernym, podciętym, z czupryną z szwedzka strzyżoną.

W pierwszéj komnacie od wschodów zaraz, sklepienia wzniosłe; ino drzwi uchylisz, zwita cię w owéj sali cały blask zbroi i rozprowadzi twe oczy od caléj Jagiełłowéj jeszcze zbroi, czarnéj lub stalnéj świetnie, do saméj piersiówki, w którą już się perły nabiły. I zupełna tam była historya wojaczki naszéj, cały kunszt zabijania od tatarskiego łuku do samopału Tosta Ludwika Decyusza, a między niemi jakby dla rozmiaru, a bardziéj dla nauki, rozkrzyżowano wrogów oszczepy, miecze, wałasze. Obok tureckich krzywych jataganów krzywiły się i nasze benskary; przy wołoszych osękach wisiały krótkie proporcowe kopie; na teutońską szpadę berdysz nastawał. Krzywość za krzywość, żelazo za żelazo oddawali ojcowie nasi. I uczyły tak dziejów walki jako karty pisane; powiadały tak o gonitwach, jakby naocznie świadki z językiem i głową. Pełna cała ich rozmowa leciała w duszę każdemu i nie można się było napatrzyć i nasłuchać téj komnaty, w któréj hetman gościną przyjmował, i często z turecka na sofach siedząc, cybuchem, bursztynem i dymem częstował. O zgadłbyś pogadankę w takiéj siedzibie. Zgadłbyś i treść pergaminowéj księgi, co okazale na środkowym stoliku dębowym zasiadła. To Frontynusa o fortelach wojennych dzieło. Lubował je hetman, rad woził je przy piersi i w głowie swojéj; a co ów napisał, on probował, a jak? spytaj Smoleńska.

Wejdź do drugiéj komnaty, zaśmiejesz się, bracie; to gotowalnia hetmańska: tu ubierzesz lica twoje pąsowo, oko na biało, język w tureckie baczmagi, ino z szaf czarnych wyjmą głęboki roztruchan, a w którym zechcesz zakątku, utoczysz sobie szumiącego wina. Bo cztery kąty, cztery stoją beczki srebrnemi obręczy zbrojne, kurek srebrny u spodu, niby kurant u zegarka świergoce winem, ino go pokręcić, a stół szeroki środkiem długi, mocny, dębów nie żałowano, bo nie lada misy na nim postawią, nie lada waga kielichów, co mu na kark siędą. I obie komnaty miały dwa wyrazy z życia przodków: B i ć i P i ć, w obu pochulanka godziwa, do obu trza serca i mocy, z obuma trza się pasować dziarsko, kadiucznie, by łbem nie uniżyć lub łba nie stracić. A tak w obu komnatach siedziała gotowość wodza do biesiady, do bojki i za sędziów obrała liczny poczet przodków, co z płótna wyzierali ku tym stołom i puharom, bacząc pilno, by co z ich obyczajów nie uciekło. Tyłem się obrócili ku komnacie zbrojowéj, bo o żelazo to byli pewni: wiedzieli oni, że Bóg na niebie raz już na zawsze słowika śpiewać, Polaka rąbać nauczył; ale od roztruchana, by sokoł od pola odwyknąć można; a biada odwyknionym; krew już tak nie zakipi, koń nie skoczy tak raźnie, twarz Turka straszniejsza; a obczyzna dotąd mało znana, trwożna, zacznie wyglądać z kątów, kiedy się rzuci dawne zwyczaje i powoli zalezie aż do tych komnat.

Pan domu więcéj surowy jak przystępny, poważny jak miły, a dziś całe nie wesół, w delii sobolem podbitéj, perłami spiętéj zamaszyście, niecierpliwie przebiega izbę; buława leży obok czapki z czaplém piórem, znać idzie do dworu, — czeka ino; a pięknie było starcowi i w owém odzieniu i w owéj niespokojności. Czoło zapisane wyrazem zmarszczek wyspanych koczowaniem, wykarmionych obozowemi trudy, świeciło, by szabla z szczerbem. Te marszczki, to okop myśli zbrojnych ku dobru ojczyzny, darmo tam sięga siwy włos z czupryny wypraszający spoczynku, on go podgarnie ku górze ręką nawykłą buławy, a potém muśnie oba wąsy siwe, co już się srożą na myśl spokoju. Darmo tam do czoła szturmują dworackie zabiegi, co się ciągle między jego zasługą a Zygmuntem panem, nieprzyjaźnym wałem układały; o łaskę jak o pętlicę swą dbały, gdzie trzeba jasném słowem zbluźni i choć we dworze prawdę wypowie. Ku orlemu nosowi ściągały się z wysokiego czoła i z pod ócz bystrych ostre linje starości, śmiech je wyraźniéj rysuje, a najwyraźniéj gniew. A z młodego pan Karól popędliwym był, nauczyciel mu Jezuita gęsto kazał oczy wiązać za ten grzech, ale co we krwi litewskiéj siedziało, Jezuicie nie wypłoszyć. W tém zagrzmiała oczekiwana koleba przed kamienicą hetmańską i niezabawem wszedł do komnaty Sapieha Lew i zawitał się u proga ręką od gęby z panem Karolem. Dwie te stare twarze miały w sobie odrębne rysy jako rasa dwóch koni. Lew Sapieha udatny, wysmuklejszy, niżéj o głowę za sobą ostawił Chodkiewicza, ten za to, przysadkowato, poważnie dał się otyłości i krągléj barki i lica zubierał ciałem. Czarne oko Sapiehy wyłuszczone z powieki, ciemną rzęsą ubranéj, szeroka gruba warga, nos długo ku ustom idący, środkiem mocno łęgowaty, jakby chciał potakiwać bajecznemu o pierworodzie téj rodziny podaniu. Wschodnie te rysy smagławszą nawet nosiły cerę, a kształty kości w obliczu sterczące byłyby surowszemi, gdyby je długoletnie dworskie cierpienia nie były ubrały w skrzywiony uśmiech, którym okrywał wewnętrzną dolegliwość lub radość swoję. Siwa broda krótko strzyżona od ucha do ucha, jak wykładka białego baranka, zataczała lica sadząc je poważnie na wysoką szyję, kiedy u pana Karóla trójkończasta broda chyłkiem się między ramiona spuszczała w krótką szyję wprawiona, często włosem całując blachę napierśnika. I dwaj starcy w taką między sobą zaszli rozmowę.

II.

Głos komnaty, głos ulicy — Pomysł.

. . . .

»Toż i dziś jeszcze nic nie będzie z mojego posłuchania u króla,« rzekł żałośnie pan Karól, »dnie lecą, czekam, bo muszę, bom sługa, alež czy Mozajsk zechce tam czekać na mnie, na was, póki wy się nie zbierzecie na wojsko lub ja go nie wyżebrzę!« »»Ciężkać to na te czasy prośba wasza,«« włożył Sapieha. »Toć stany w obietnicach.« »»Największych.«« »Król miłościwy w chęciach.« »»Niezmiennych.«« »Cóż więc, zawadą?« sarknął Chodkiewicz. Sapieha spojrzał nań jakby chciał powiedzieć »albož nie wiesz«, ale się ze słowem wstrzymał, bo znał krewkość hetmana, a prawda byłaby zatrzęsła starcem. »Cóż więc zawadą,« wtórzył Chodkiewicz, »niemożność? téj nie ma, kiedy jest chęć; skutek? tam pewny, kędzie czyn, a mnie widno wszystkiego tutaj prócz chęci i czynu. Kanclerzu, czemu tak?« Lica Sapiehy przybrały wyraz zamyślenia, usta jego niby wspólsklonione do słowa zacisnęły się głębiéj, że półwargi widać ino i milczy. Chodkiewiczowi aż się na żal zebrało: począł mimojazdem na niego nacierać. »Czemu tak pusto teraz na zamku królów naszych, to ja wam powiem: bo Zygmuntowi tonąć we szwedzkim tytule i nasze gronostaje przerabiać na burkę w czasie deszczu, aby ją tak potyrawszy, gdy przejdzie pogoda, rzucić gdzieś w kąt i swoję ino szwedzką ferezją ochronić. Bo i wam panom radnym już tak nie pilno ciągnąć wóz Rpltéj, by z wami nie stoczył się w kałużę; a przecie ziemia nasza, ta co i przedtém, na granicach wróg szczęka w szable. Bójcie się Boga, Kanclerzu, głów dajcie sporo, by niemi zapchać paszcze bazyliszek, by niemi zadusić wały Mozajska, ochoty dajcie, coby w zbroję wlazła i cwałowała ku grodów zdobyciu! a wy co na to?« Sapieha patrzał w okno na krakowski rynek: ludno tam było, a prze-

cież nie znalazł jednego człowieka, o którym mógłby powiedzieć: »ten pójdzie z wami.« I tą jeszcze razą słowo Chodkiewicza nie znalazło odpowiedzi na ustach kanclerza, ale pełną odpowiedź niósł w sobie głos z rynku, dolatujący do ich gospody. Głos z rynku: »Szkuta, udychtowana z zawiesistą reją po pszenicę a żyto do Gdańska, panowie szlachta, mieszczanie, komu zdatna, prosimy« i kilku opasłéj szlachty potoczyło się ku niemu i każdy ręką sięgał pod połę kontusza, a szablę nogą odwinął. I zaturkotał głos z rynku, wozem paradnym sześćma końmi nabitym, sługi od kun i rysiów, pan od sobola, chociaż młody, w safianowych ugrzązł poduchach, w oczach małmazya, w czapce z piórami, przeleciał rynek z hałasem. Ów próżny hałas, to druga odpowiedź na głos hetmana. Z zapiecka Święto-Janki wychinął żydek z kramikiem, a było tam fraszek nie lada; bacieszki nowe, szubki nowe, wszystko jak ulane, ciągnie młode oczy ku sobie; to też pacholęcia jak gradu, jeden bawi wzrok, drugi dobywa kieski; a żelaza tam nie było, do szablicy, nie tak już drze się młodź; bardziéj jéj ku sercu, co pachnie, co świeci, jak co rani a zdobi. Ich śmiechy puste, ich niecne frymarki, to trzeci głos na zawołanie hetmańskie. A czwarty stał tuż pod oknem hetmanów, stulony w łachmany niewieście, nędzny, piszczący, jednę rękę wyciągał w żebrankę, drugą kołysał zgłodniałe u piersi dziecię i wrzeszczał pomocy, wsparcia: »panowie, jam szlachecka zrodzica, z męża, obaj na boju zginęli, mnie sierotę z dobytku wypędzili konfederaci Zbigniewa Silnickiego, ej chleba, pomocy sierocie!« Tu się zsępiło Chodkiewicza czoło, ten krzyk niebogi. On go wziął za całą macierzyńską ziemię, wołającą do synów swoich. Na ganek ratuszny wyszedł woźny sądowy, tuż przy nim stanął patron w pąsowym kubraku i zwitek trzymał. Woźny magistratu bił szablą w żelazny ganek i krzyczał: uciszcie się, a drugą ręką poprawiał sobie żółty pas na dymowym żupanie i sznurek od zwieszonego w ramiona ciemnego kontusza, a kto znał woźnego, to wiedział, że to znak uroczysty zabrania przezeń głosu. Więc podgarnęła się szlachta, mieszczanie pod ganek licznie, a kiedy woźny po tém ostrzeżeniu cofnął się na tył i na rozścież drzwi półszklane odsunął, wiodąc z sądowéj sali w ów ganek, tłum ten liczny odsłonił głowy, boć tam przytomni sędzie mieli słuchać publikacyi swego wyroku i nie wychodząc z krzeseł, by tajny wenecki trybunał, odebrali hołd od stojących na rynku. W on czas patron dał skinienie, woźny rozkrzyknął po trzykroć: »banicja i infamja na Abrahama Dunin, dworzanina królewskiego!« a za pierwszym okrzykiem obrócił się ku stronie zamkowéj, a za drugim ku paulińskiéj ulicy, trzecią zaś razą wprost siebie, jakoby chciał rzucić tę nowość w okno obu hetmanom. Poczém pąsowy kubran jął coś długo czytać i skończył, i znów woźny po trzykroć wznowił swój okrzyk. Wtém i czapki na głowy i grupy z tych czapek poczęły się tworzyć, ale jakieś niechętne, stronnicze i dziwne. Ci co z pasem na żupanie, z laską, z gałką na temblaku, a byli to mieszczki, osobno — a osobno grono żółtych bekiesz z obuszkami przy szablicy, — a osobno owych w kabatach łosiowych dobrze bawełną utkanych, snać dworzan ze stanu. I każda grupa rosła przybywającemi z pod ganku i wszyscy mówili niewesoło z podełba; osobliwie czerada kabatowa swarzyła głośno, chichotała i wszystko kręciła okiem ku świetnéj, żółtéj kamienicy, co bokiem rynkowi stała. »I cóż on zrobił,« pyta Chodkiewicz przyjaciela swego. »»Obmówił pannę Urszulę Mejerin,«« odparł z uśmiechem Sapieha, »»i banicja go zwitała jak swoje dziecię — biedny dworzanin!«« Teraz porozumiał hetman gawędę rynku całego, ich niechęć ku faworycie, to nad czém on ubolewał, dworzanin prosty chciał odczarować, skarcić, wyśmiać, i wygnano go. Cały gniew hetmański ostry, rozwarty, stał tam na dole i szczerzył zęby w kamienicę faworyty, i wyrok kupiony był im, jak jemu, zgrozą, urazą, raną. I ów herkules litewski miał tak rozdartą szatę jak ów lud stojący pod jego oknem, szatę ufności w sprawiedliwość. Lud stał i czekał: a w onéj dobie jakby na domiar tryumfu swego, jakby na wyzwanie i ucisk nienawistnéj gawiedzi, zaciąga sześciokonna paradna kolasa gdańska przed dom Urszuli, a ona pyszna, jaśniejąca zwycięstwem, w jedwab szkarłatny zpowijana, z dumném okiem wstąpiła do niéj, zachwiała głową w czepcu brabanckim na obie strony i nie zapuszcza drzwiczek i wyzywającém okiem mierzyła świadków zwycięstwa swego, rozstrąca kupy zbiożone, flamandami bryzga błotem i tak się przejeżdża po swym placu zwycięstw jak Cezar jaki, pędząc ku zamkowi. Właśnie co była przed oknem hetmana, on już nie wstrzymał gniewu buchającego okiem, twarzą i piersią; głosu nie było, słów nie stało, ale ślina zbieżała gorżka, skarjąca i na tryumfującą Urszulę plunął z okna i to szydercze plwanie oblało faworytę śród dnia jasnego i spłynęło na lity czepiec, na jéj twarz, na jéj duszę, na wszystko, co w téj chwili miała w sobie Urszula. A obok stojący, wciśnion do framugi Sapieha, w chwili plwania hetmańskiego, głową poruszał ku kolasie, niby ukłonem, niby przyzwoleniem załowarzyszył téj pogardzie, — i dwa te ruchy dwóch głów starych były jakby całą historją przyszłości téj niewiasty, całém wygadaniem się narodu. I już szarpnęły konie karocę daleko, już minęła farę, w zamek wjeżdżała, a jeszcze osłupiona, blada, została myślą w tém samém miejscu, — dawno ślina obeschła a ona ją ściera z twarzy, z czoła, ona jéj nigdy nie zetrze: bo ta chwila była ostatecznym sądem Urszuli. Naród sądził, hetman jak woźny narodu, rzucił jéj infamją wieczną: plwanie jego, to wyrok ze wszystkich myśli tego tłumu zebrany, a giest Sapiehy podwójny, prawniczy, to jak pąsowego kubraka zwitek, gdzie dziś wygnanie, jutro chleb merentium, z jednego może wyjść czynu, ino odmień sędzię.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Z najnowszych dzieł polskich zasługują na uwagę: **Pan Sędzic**, opowiadania o Litwie; powieść z godłem: »**Rznij prawdę, o resztę nie pytaj!**« — Ziewonii rok drugi wyszedł obecniew nowém ozdobném i pomnożoném wydaniu. Wkrótce wyjdą w drukarni Śmigielskiego poezyje W. Godlewskiego pod tytułem **Ludwika**, powieść z dziejów najnowszych, w trzech tomach, z obfitemi przypisami historycznemi; a druk tłómaczenia na język polski **Umowy towarzyskiéj** *(Contrat social)* J. J. Rousseau kończy się. — Autor pamiętników pana Soplicy (Rzewuski) ma podobno także nowe wydać powieści.

W Poznaniu otworzono drugą wystawę obrazów. Zawieszono dopiero jednę połowę obrazów; wystawa drugiéj połowy rozpocznie się koło 15go tego miesiąca. W przyszłych numerach wspomniemy w krótkości przynajmniéj o najcelniejszych.

Pierwszy zeszyt **Nowéj bibliografii polskiéj** przez p. Zawadzkiego wydanéj wyszedł już z druku. Zwracamy powtórnie uwagę czytelników na dzieło, które w ręku każdego literaturę milującego polaka być powinno.

Oświadczenie.

Ponieważ redakcya numera Tygodnika jak najregularniéj wydaje, uprasza przeto tych Szan. Prenumeratorów, którzy jakiéj przerwy lub zamieszania w odbieraniu tego pisma doznali, aby swe zażalenia redakcyi Tygodn. końcem zapobieżenia złemu, w listach frankowanych przesłać raczyli.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*